Do Varanasi wyruszyliśmy w nieco poszerzonym składzie, bowiem w ostatnim dniu naszego pobytu w Kalkucie dołączyli do wyprawy absolwenci Słowaka i jednocześnie sponsorzy wyprawy, przedstawiciele Bilingual Future Foundation. Na dworcu niegdyś zwanym Mughalsarai, a teraz Deen Dayal Upadhyaya (warto tę nazwę przeczytać głośno) wysiedliśmy po ósmej rano, Kumar szybko zorganizował riksze, którymi podjechaliśmy do Madagin w Varanasi, a stamtąd zabrał nas i zaprowadził do hotelu East View młody, sympatyczny i bardzo szybko chodzący chłopak, jak się okazało – pracownik recepcji (tu już nie był taki szybki). No więc z plecakami, plecaczkami, tobołkami i uzbrojeni w butelki wody szliśmy za typem krętymi uliczkami najstarszej części Varanasi. Hotel East View, podobnie jak ten, w którym wcześniej wyprawy wynajmowały pokoje, stoi na ghacie. Dojście do bramy utrudnia zwykle kilka krów, które ani myślą się przesunąć choćby o pół metra, żeby umordowany podróżnik mógł przejść, za bramą jest placyk, cisza, spokój i sporo małp skaczących po murkach, wskakujących na daszek nad wejściem i podglądających homo sapiens. A my po załatwieniu formalności, zasiedliliśmy pokoje i po szybkich ablucjach, skromnym śniadanku (onion paratha) pojechaliśmy do Sarnath. Żar lał się z nieba. Spoceni zaczęliśmy zwiedzanie tego miejsca od wejścia do świątyni Mulagandha Kuti Vihar z interesującymi freskami przedstawiającymi życie Buddy i podreptaliśmy do Muzeum Archeologicznego, w którym zgromadzono artefakty z czasów, w których nasi protoplaści dzidą powalali dzikiego zwierza w puszczy. Kupiliśmy bilety, dziarsko weszliśmy do głównej sali i prawie szlag nas trafił (nie da się tego inaczej opisać), bo jakiś cymbał włączył tam klimę na 18 – 20 stopni. Kumarowi zesztywniała mokra od potu koszula, ja przez pierwszych kilka sekund łapałam oddech i reszta podobnie. Za chwilę znowu wstrzymał nam oddechy kapitel kolumny Aśoki, którego rysunek stał się godłem Indii. Widzieliśmy Park Jeleni i oczywiście stupę Dhamek, poszliśmy zobaczyć współcześniejsze wyobrażenie Buddy i miejsce jego kultu, po czym wskoczyliśmy w riksze i wróciliśmy do Varanasi na kolację i shopping w sklepie z jedwabiami, paszminami, kaszmirami i innymi cennymi materiami. Początkowo akcja w sklepie rozwijała się nieco niemrawo. Młodzi zasiedli na rozstawionych ławkach i ze zdziwieniem obserwowali ekspedientów, którzy wyjmowali z opakowań kolejne szale i inne produkty. I nic. Nawet sobie pomyślałam, że w sumie super, że nie ulegają wprawnym sprzedawcom. Jakże ja się potrafię mylić… nie minęła chwila, a okazało się, że nasi milusińscy potrafią handlować i zbijać ceny. Panowie co prawda mieli niewielki problem z doborem kolorów szali do upodobań kobiet w rodzinie, ale sprytnie się z nim uporali, konsultując z nami – opiekunkami i koleżankami, które okazały się biegłymi ekspertkami w dziedzinie odzieży. Jedna z dziewczyn, przepiękna Agatka Ś., kupiła saree. Będzie w nim wyglądała zjawiskowo. Pracownicy manufaktury kręcili się wokół niej i upinali kolejne metry wybieranych materiałów, a jej chłopak – Szymon I. ze spokojem grabarza przyglądał się tym zabiegom i czuwał… Mnie i Grace jakoś nie chciało się powalczyć o niższe ceny szali i w końcu zrobił to za nad Kumar, więc skusiłyśmy się na szale, które pewnie już niedługo będą częścią naszych jesiennych stylizacji (jakby to określiły nastolatki), a on sam wybrał dla siebie krawat. Jak stwierdził – do trumny. Do jakiej trumny? Skremowany chcesz być przecież?! Tak, skremowany, ale goły do pieca nie pójdę – skwitował.

Do hotelu wróciliśmy o zmroku, a następnego dnia, po dość późnym śniadaniu, wyszliśmy z naszym przewodnikiem (nazywanym Shivą) na wycieczkę po mieście. On jest tym miastem, kocha je i wszędzie tę miłość deklaruje, poza tym potrafi wszystko załatwić. Dodam, że znamy go od wielu, wielu lat. Shiva zaprowadził nas do przepięknej hinduistycznej świątyni,

będącej poza szlakiem turystycznym i do świątyni nepalskiej, w której akurat trwała pudża. Poszliśmy też na Manikarnika Ghat, czyli odwieczne miejsce kremacji zmarłych. Młodzi w milczeniu przyglądali się ceremonii, nie komentowali niczego, po prostu zatrzymali się na chwilę, zadumali… spokojnie przyjmowali też orszaki ludzi niosących na marach zwłoki bliskich na miejsce ostatecznego pożegnania.

Jak wcześniej w Kalkucie podczas wolontariatu, tak tu – w Varanasi zmierzyli się z czymś, z czym pewnie nie musieli wcześniej (a przynajmniej w takim rozmiarze) i wyszli z tego „z tarczą".

Spacerując z Shivą poszliśmy też na ghat wybudowany z inicjatywy premiera Indii, zajrzeliśmy również do kolejnej manufaktury, tym razem była to rozlewnia olejków/perfum przygotowywanych na bazie kwiatów i innych roślin, które mają służyć m.in. celom zdrowotnym. Tu dla odmiany nasza ekipa wykazała się wstrzemięźliwością.

Wyprawowicze niewiele kupili, może jedną – dwie perfumetki, ale gospodarz częstował masala tea i to był hit. Opiliśmy biedaka i poszliśmy w siną dal.

Niestety, w tym roku wyprawowicze nie wypłynęli na Ganges. Poziom wody w rzece był bardzo wysoki, z wielkiej stała się olbrzymia, więc oglądanie z wody wschodu słońca musieliśmy wykreślić z programu. Zaczęliśmy się również zastanawiać co pudżą, bo i tę zwykle podziwialiśmy z Gangi. Uspokoił nas Shiva, załatwił bilety i tradycji stało się zadość. Grupa poszła na ceremonię dedykowaną świętej rzece, bóstwom i żywiołom, by dać się ponieść panującej tam atmosferze sacrum, dźwiękom, światłu i kolorom. Szkoda tylko, że nie można było oglądać tego mistycznego spektaklu z kołyszących lekko się na Gangesie łódek.

No i skończył się pobyt w Varanasi, trzeba było po raz kolejny przepakować plecaki i przygotować do prawie dwudziestoczterogodzinnej podróży do Haridwaru. Większość podróży przespałam, ale ok. trzeciej w nocy, kiedy nasz pociąg wjechał na stację Haridwar byłam przytomna i gotowa do kolejnych wyzwań. Wytaszczyliśmy manatki przed dworzec, ja zostałam z grupą, a Kumar z Grace poszli szukać hotelu, w którym moglibyśmy zatrzymać się na kolejne dwa dni. Nie było ich może godzinkę, ale przyszli z dobrą nowiną. Znaleźli hotel, podobno naprawdę niezły, około pięćset metrów od dworca, przy którym czekaliśmy. Faktycznie, pokoje były wygodne, z klimą, czyste… ledwie się wtarabaniłyśmy z Grace do swojego i zaczęłyśmy przyjmować pozycje horyzontalne, kiedy zapukał do nas nerwowo podniecony Kumar z hasłem:

– Dziewczyny, a gdybyśmy zbiórkę z 10.00 przesunęli na 9.00? Jest dzień niepodległości Indii, coś fajnego szykują w mieście i może warto to zobaczyć.
– No ok, ale musisz poinformować młodych.
– To już im to napiszę na grupie.

Trzy minuty później…

– Dziewczyny, jednak nie, te uroczystości zaczynają się o ósmej. Sam pójdę, zobaczę, co miejscowi przygotowali.

Kumar poszedł w miasto, a my spać, a kiedy wyszłyśmy na zbiórkę, szef był świeżo ubrany, po prysznicu i chwalił się nagraniem, na którym widać jak maszeruje z lokalsami, dzierżąc flagę Indii w garści. W dodatku załatwił, by cała obsługa hotelu zaśpiewała dla nas hymn Indii. Oczywiście, Kumar dołączył do chóru i śpiewał chyba najgłośniej. A potem poszliśmy na śniadanie i podjechaliśmy nad Ganges, na ghaty, które tu wyglądają nieco inaczej niż te w Varanasi. Haridwar to również święte miasto, ale położone bliżej gór. Rzeka płynie przez nie znacznie bardziej wartko, w związku z tym ci, którzy chcą zażyć rytualnych kąpieli schodzą na ghaty, ale trzymając się przytwierdzonych do nich łańcuchów.

Kto pierwszy wyskoczył z ubrania i wlazł do rzeki? Oczywiście Kumar, a za nim nasi chłopcy. Pokrzykiwali raz po raz i zanurzali się z głową, a po wyjściu z wody, zdjęli mokre „niewymowne" , wcisnęli do worka na śmieci (a ten do plecaka Pabla Ł.), założyli spodenki i mogliśmy pójść zwiedzać dalej. Naszym przewodnikiem po Haridwarze była Basia P., która zaprowadziła nas do Mansa Devi Temple, która ma duże znaczenie religijne, ale urodą nie powala. Ot, betonowy klocek z wydzielonymi miejscami na posągi bogów, ofiary i braminów błogosławiących wiernych i niewiernych.

Mansa Devi jest usytuowana na wzgórzu, na które niby można wejść z buta, niemniej można też wjechać kolejką. W górę wybraliśmy kolorowe gondole, które w trzy minuty wywiozły nas na szczyt, czyli do wspomnianej świątyni. Na dół wróciliśmy pieszo, tam już czekały riksze, więc podjechaliśmy do hotelu i spotkaliśmy się w dinning roomie, by wysłuchać kolejnych interesujących wykładów przygotowanych przez młodych, a po nich wróciliśmy nad ghaty, by zobaczyć pudżę tu, w Haridwarze.

Ceremonia rozpoczęła się ok.18.30 i prowadziło ją dziewięciu lub 10 braminów. Ich modlitwy niosące się do wiernych wraz z wodami Gangesu były hipnotyzujące, ale ogólnie brakowało czegoś, co mają pudże w Varanasi – widowiskowości, show. I niby nie o to chodzi, ale też trochę o to… No cóż, mamy porównanie. A rano dnia następnego już po dziewiątej siedzieliśmy w rikszach z zamiarem dojechania do Rishikeshu.

Rishikesh to mieścinka nad Gangesem licząca mniej więcej tylu mieszkańców, co… Katowice. Jechaliśmy tam około godzinki wielkimi rikszami i jak tylko z nich wysiedliśmy, to poczuliśmy my – opiekunowie klimacik bliski już temu ladakhijskiemu. Było też trochę chłodniej niż w Haridwarze. A my chcieliśmy zobaczyć ašramy, z których zaczął słynąć Rishikesh od lat sześćdziesiątych minionego wielu, kiedy to zaintrygowani nowo poznaną kulturą i filozofią przyjechali do jednego z nich na spotkanie z Guru członkowie zespołu The Beatles. Ten „ich" ašram nie przyjmuje już gości, wręcz wygląda na mocno zaniedbany, aczkolwiek Modi i jego rząd wycenił bilet wstępu tam na 1200 rupii (dla lokalsów dla porównania 50). Łaziliśmy po tym miejscu, szukając śladów bytności gwiazd. W głowie wyświetlały mi się kolejne melodie przebojów Beatlesów i niechcący zagadnęłam młodych o ten zespół. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że duża część grupy w ogóle nie kojarzy tej grupy, niektórzy jakiś jeden – dwa przeboje… myślałam, że żartują. Że jak?! Nie znacie The Beatles?! Ale że jak? Let It Be? Hey Jude? Nic?! No cóż takie pokolenie. Małgosia C. opowiedziała o zespole i jego związkach z Indiami, a Dyrektor nie byłby sobą, gdyby nie puścił fragmentów przebojów Beatlesów. Musi być fanem, bo szłapka od pierwszych taktów zaczęła mu rytmicznie tuptać. Młodzi wysłuchali piosenki milcząc, nie drgnęli, więc Kumar

zaordynował powrót do riksz. I wracaliśmy jak tam doszliśmy – wertepami, przez wodę (szef jak na gentlemana przystało służył mi ramieniem, żebym nie wyglebiła się na kamolach), przeszliśmy przez Janki Bridge, wpakowaliśmy się w riksze i gładko dojechaliśmy do Haridwaru na kolację, ostatnią noc przed ośmiogodzinnym przejazdem koleją do Agry.